

# WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY



**J**ESZCZE JEDEN WAŻNY dla szkolnictwa problem rozstrzygnięty; Ministerstwo Oświaty utrzymało w mocy ubiegłoroczny regulamin egzaminów maturalnych. Uściślono jedynie niektóre jego punkty celem uniknięcia dowolnej, niekiedy błędnej nawet interpretacji. Najprawdopodobniej nowy system egzaminów maturalnych przetrwa do 1989 roku, kiedy składać je będą obecni ósmoklasiści.

Wprowadzenie reformy matur przyspieszył nacisk opinii publicznej, ale trzeba także dostrzegać pewne negatywne następstwa tych dyskusji. I dobrze się stało, że władze szkolne uważnie rozpatrywały zgłaszane postulaty. Liczne argumenty w kampanii, gwałtownej i namiętnej, przeciwko maturom w ogóle, faktycznie godziły w prestiż średniego szkolnictwa ogólnego, obniżyły jego społeczne znaczenie. Szereg przykładów każe sądzić, że ubiegłoroczne dyskusje nad regulaminem, który zbyt późno ogłoszono, odwróciły uwagę nauczycieli i abiturientów od sprawy najważniejszej — merytorycznego przygotowania do matury. Powszechnie mniemano, że zreformowana matura będzie łatwiejsza; okazało się jednak, że „zliberalizowanym” wymogom nie sprostało 6 tys. maturzystów wobec 5 tys. w 1964 roku.

Eksperyment z egzaminami maturalnymi z wielu względów zasługuje na uwagę; ważne są nie tylko usprawnienia techniczne, ale przede wszystkim walory dydaktyczne i wychowawcze. Stworzono warunki sprzyjające sprawdzaniu wiadomości młodzieży w atmosferze spokoju i powagi. Ubiegłoroczne zaś doświadczenia winny uspokoić tych, którzy w nowym regulaminie dopatrywali się deprecjacji szkoły średniej, w szczególności ogólnej. Niektóre jednak przepisy regulaminu w dalszym ciągu budzą wątpliwości.

Egzaminy rozpoczyna się 20 maja; normalne zajęcia szkolne trwać będą do 30 kwietnia, a 2 maja rozpoczyna się konsultacje z przedmiotów maturalnych. Regulamin określa, którzy uczniowie muszą w nich uczestniczyć, ale z praktyki wiemy, że z tymi konsultacjami różnie bywa. Często młodzież woli się samodzielnie przygotowywać, tracąc niepotrzebnie czas na spekulacje co do ewentualnych pytań oraz tematów prac pisemnych, zapoatrjuje się w niedozwolone „pomocze naukowe”, różnego rodzaju ściągawki nie bez pomysłowości instalowane w rękawach i innych częściach garderoby. I ta gra — kto kogo przechytrzy — jest niebagatelną przyczyną potęgującej podniecenie i zdenerwowanie. Niekiedy młodzież unika konsultacji w obawie ujawnienia słabych miejsc w zasobie swych wiadomości.

Konsultacje powinny różnić się od tradycyjnych „lekcji powtórzeniowych”; tuż przed maturą nie czas na szczegóły, trzeba natomiast syntetycznie podsumować cały materiał, uwzględniając braki uczniów oraz ich życzenia. Ustalając plan konsultacji, nauczyciele winni w większym niż dotychczas stopniu uwzględnić ubiegłoroczne doświadczenia, zwłaszcza egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, które weryfikują niejako egzaminy maturalne. Komisje egzaminacyjne wyższych uczelni rokrocznie ujawniają poważne braki w podstawowym nawet materiale.

Wspomniałem, że Ministerstwo Oświaty skonkretyzowało niektóre punkty regulaminu. Do egzaminu dojrzałości może być dopuszczony uczeń z jedną oceną niedostateczną. I tu w praktyce miał miejsce liberalizm rad pedagogicznych, które ten przepis potraktowały jako zasadę, a nie wyjątek uzasadniony szczególnie ważnymi przyczynami. Nie mogło to nie wpłynąć na pewne rozluźnienie dyscypliny wśród części młodzieży, która sądziła, że „jedna dwójka jest dozwolona”. O-tóż nie, ani jedna; uwzględniane będą tylko wypadki losowe, jak długotrwała choroba, śmierć w rodzinie itp.

Podobnie jak i w latach ubiegłych, tematy prac pisemnych z języka polskiego i matematyki ustalają kuratoria dla wszystkich szkół w okręgu. Wszystkie 3 zadania z

matematyki są obowiązkowe, natomiast z języka polskiego — do wyboru przez ucznia. Abiturient będą składać egzaminy ustne z historii Polski, jednego języka obcego (angielski, rosyjski, niemiecki lub francuski) oraz swobodnie wybranego jednego z czterech przedmiotów: biologii, chemii, fizyki lub geografii.

Regulamin wprowadza pewne przywileje dla uczniów pilnych i systematycznych. Zwolnieni będą z egzaminu z historii Polski i języka obcego ci uczniowie, którzy otrzymali ocenę bardzo dobrą pod koniec klasy XI lub oceny dobre w klasie X i XI. Nie będzie natomiast

Zdzisław Kozioł

## PRZED MATURĄ

zwolnień z chemii, fizyki, biologii i geografii. Egzamin ustny z matematyki i języka polskiego obowiązuje tych, którzy pracę pisemną napiszą na „niedostateczny”.

Czas trwania egzaminu pisemnego określono na 5 godzin. Przebiegać będą one tak jak dotychczas. Na uwagę zasługuje tryb egzaminów ustnych. Pytania ustalają szkoły. Szkołom pozostawiono także swobodę wyboru formy egzaminowania: pytania mogą być przez maturzystów losowane bądź też stawiać je będą egzaminatorzy. Jest to tylko pozorna sprawa obojętna. Zdaniem niektórych nauczycieli należało ją obligatoryjnie uregulować przepisami. Zarówno jedna, jak i druga forma ma swoje zalety i wady... Są uczniowie, którzy wolą pytania losować, inni zaś czują się pewniej, gdy pytanie stawia nauczyciel.

Nie będę szczegółowo omawiał regulaminu, przypomnę tylko, że przyspieszono tempo składania egzaminów (wprowadzono odstępy 2—3 dniowe dla egzaminów ustnych); skrócono także zbyt długi okres wyczekiwania na ostateczny wynik, który będzie ogłaszany dla poszczególnych klas lub nawet grup, a nie tak jak dotychczas — po zakończeniu egzaminowania wszystkich uczniów. By to osiągnąć, egzamin będzie składany nie przed całą Komisją Państwową, lecz przed czteroosobowymi zespołami egzaminacyjnymi dla poszczególnych przedmiotów. Przepis ten odciąża nadmiernie przepracowanych nauczycieli. Komisja w pełnym składzie ustali tylko ostateczny wynik egzaminu dojrzałości, a więc wynik egzaminu pisemnego i ustnego oraz postępy ucznia w okresie jego pobytu w szkole, a także ogólną opinię o dojrzałości umysłowej abiturienta. Natomiast Komisja Państwowa nie może zmieniać oceny egzaminu ustnego postawionej przez zespół egzaminatorów; będzie ona teraz osta-

teczna. Przepis ten eliminuje liczne uprzednio wypadki wywierania nacisku na egzaminatorów przez pozostałych członków Komisji Państwowej, której obrady przypominały niekiedy słynny film „Dwunastu gniewnych”.

Wprowadzenie tego przepisu było koniecznością, niemniej nasuwa się pewna uwaga. Z doświadczenia wiemy, że wybitnie uzdolnieni uczniowie w określonym kierunku wykazują „antytalent” do innych przedmiotów, co niekiedy może spowodować niezłożenie przez nich egzaminu. Z drugiej zaś strony, niezauważona ocena pozytywna działań demoralizująca.

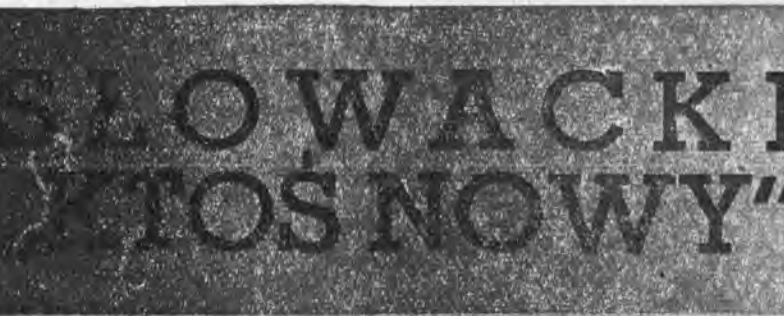
Sprawa ta wiąże się z szerszym zagadnieniem, a mianowicie: nasze szkolnictwo z reguły orientuje się na ucznia przeciętnego i pracowitego, tracąc z pola widzenia zarówno nieprzeciętnie uzdolnionych, jak też słabych. Zarówno jedni, jak i drudzy wymagają szczególnej opieki.

Ale to już problem oddzielny. Pewne wątpliwości budzi także premia za pilność i systematyczność w postaci zwolnień z egzaminu. Ma ona zachęcić do systematycznej pracy, ale wyobraźmy sobie taką sytuację: uczeń mając liberalnego nauczyciela otrzymuje w klasie X i XI „czwórki” z historii i języka obcego, za co zwolniony jest z egzaminów ustnych. Jeśli ponadto poszczęści mu się podczas egzaminu pisemnego z matematyki i języka polskiego, to faktycznie pozostanie mu tylko jeden egzamin ustny, gdy tymczasem jego kolega musi się przygotowywać do kilku. W określonych warunkach może wytworzyć się niewłaściwa atmosfera wśród młodzieży.

Zdaniem niektórych nauczycieli, ułatwienia poszły zbyt daleko; kwestionują nawet samą zasadę zwolnień z egzaminu ustnego z języka polskiego, uważając, że różny jest zakres egzaminu ustnego i pisemnego. Napisane na „dostateczny” zadanie nie świadczy jeszcze o należytych opanowaniu języka ojczystego. Słabszym punktem prawie każdego ucznia, co potwierdziły ubiegłoroczne matury i egzaminy wstępne na wyższe uczelnie, jest m. in. nauka o języku.

I jeszcze jedna moja, prywatna niejako wątpliwość: składaliśmy jako studenci egzamin z przedmiotu, który nazywał się „Techniki badań społecznych”. Mawiano się wówczas: „Istnieją techniki badań społecznych i techniki składania egzaminów”. Abiturient, a także nauczyciele, domyślają się tematów prac pisemnych, szczególnie tematu „wolnego” z języka polskiego, który bywa dla wielu deską ratunku. Ułatwia to „zaliczenie” pracy pisemnej. Czy „specjaliści od technik składania egzaminów” nie będą stawiać na jedną kartę...

O tych wątpliwościach piszę nie po to, by podważać regulamin, jego wprowadzenie oznacza duży postęp w szkolnictwie średnim, nowy system egzaminów maturalnych jest rzeczywiście nowatorskim eksperymentem, którego powodzenie w dużym stopniu zależy od postawy zainteresowanych: egzaminowanych i egzaminujących.



Z niesłabnącą zaiste popularnością krąży ta sztuka po scenach naszego kraju; niewiele pozostało teatrów, które nie zaplikowałyby współczesnym perypetii Kukuli kontra amoralne środowisko, problemów codzienności, sposobów wyjścia z okresów niedobrych schematów. I choć sama sztuka nie daje jednoznacznego bohatera pozytywnego, to jednak w jakiś sposób przemycia wiele praktyk o stosunkach społeczno-gospodarczych lat sześćdziesiątych i jest protestem przeciw zakłamaniam.

Ostatnio przekroczyła nawet granice Polski i za sprawą rzeszowskiego reżysera Jerzego Pleśniarowicza oraz scenografki Ireny Perkowskiej znalazła się na scenie teatru preszowskiego, wywołując żywą reakcję i oddźwięk u słowackiego widza. Trzeba przyznać, że nieobce i tam są zagadnienia, które porusza Marek Domański, a o których recenzent Preszowskich

Novin pisze, że „bez zacierania prawdy, utwór z odważnymi akcentami krytycznymi wobec życia współczesnego społeczeństwa” wypełnił lukę w repertuarze Teatru im. Jonasza Zaborskeho, któremu brak aktualnych, żywych sztuk współczesnych.

W jednym z omówień sztuki, zainscenizowanej bardzo interesująco przez Jerzego Pleśniarowicza (co podkreślają zgodnie słowaccy recenzenci), zamieszczonym w „Vyhodoslovenskích Novinach”, czytamy m. in.

„Należy wyrazić wdzięczność słowackim „przyjaciół”; pierwsze bowiem przyjacielskie kontakty między DJZ w Preszowie i Teatrem im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie uwarunkowały premierę tej sztuki w CSR. Po wzajemnych wymiennych wyjazdach doszło teraz do gościnnych reżyserii...”

Recenzent tłumaczy, że wartość „Kogoś nowego” tkwi przede wszystkim w jego reportażowej wręcz współczesności, na brak której cierpią słowackie teatry, a polska sztuka zakwitła w tym repertuarze, jako owe niektóre gatunki kaktusów, co to zakwitają raz na setkę lat...

Miło donieść, że dzięki udanej współpracy dwóch teatrów, widzowie słowaccy zapoznali się z dramaturgią polską, tym bardziej, że chęć zagrania sztuki Domańskiego wyraziły ostatnio znowu teatry naszego drugiego sąsiada — Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

K. S.

Divadlo Jonasza Zaborskeho w Preszowie: „Ktoś nowy” Marka Domańskiego. Reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz, scenografia: Irena Perkowska. Od lewej: Andrej Szilas (Kukula), Tibor Vadesz (Filipczak), Gita Mikulova (Hanka Filipczakówna).



KALMAN SEGAL

# „WNEBOWSTAPIENIE”

FRAGMENT POWIEŚCI

Pili wódkę i palił niemieckie papierosy. Hubert był zniechęcony, błądząc ciepło rozlewał mu się po całym ciele, było mu niemal dobrze, bo tu w tym kącie, gdzie warował wściekły Jakub, tu było cicho i ciepło, a wódka wspaniała się w krew, znieczulała bólałe członki, i jak ciężka mgła, jak opatrunek z waty spowijała duszę. Hubert pił, a świat wokół niego tracił swoją rzeczywistość, życie zataczało sens, życie, śmierć, okrucieństwo, miłosierdzie. Kto to wymyślił?

W zamglonej, nieco już pijanej wyobraźni Huberta, wielki Jakub rozrastał się kolosalnie, wypełniał sobą cały barak, cały obóz, cały świat. Wszędzie było pełno Jakubów, na ziemi i w niebie, wszędzie było pełno morderców, żelazna pięść Jakuba unosiła się, zagrażała.

— Jakubie — powiedział Hubert — powiedz mi kim jesteś, kim byłeś, kto cię urodził, jaka wilczyca dawała ci ssadę. Dlaczego jesteś taki okrutny?

Jakub nie obraził się. Może działały na niego rygory gościnności, kurtuzyja obowiązująca gospodarza domu, bo on był tu gospodarzem, a Hubert był jego gościem.

Popatrzył na Huberta — miał duże, przekrwione i wylupiane oczy, podobne do oczu złego buhaja — i tym swoim gardłowym, lekko chrypiącym głosem powiedział.

— Chciałbyś wiedzieć kim byłem? Bo kim jestem, to ty wiesz. A kim byłem? Artystą! Artystą byłem, występowałem w cyrku. W cyrku Buscha. Berlin, Paryż, Londyn, Barcelona, Rio de Janeiro i Buenos Aires. Wszędzie byłem. Wyprowadzono na arenę byczka, młodego buhaja, a ja zabijałem go jednym uderzeniem pięści. Tysiące ludzi było brawa, reflektory wymacały mnie z półmroku, orkiestra grała tusz, kobiety rzucały kwiaty. To było powodzenie, serce we mnie kołotało z radości. Dzisiaj nie czuję, nie mam już serca. I nawet nie czuję złości do nikogo, ani nienawiści. Zabijam człowieka, zabijam muchę. Przyjdzie czas, to i ciebie zabiję bez gniewu i bez złości. Patrz jak to zrobię.

I błyskawicznie uderzył pięścią w stół. Deska zalała się w środku. Szklanka z wódką podskoczyła i z brzękiem upadła na ziemię.

Wyglądał jak szaleniec. Hubert zdał sobie sprawę, że to nie jest człowiek normalny, i nawet nie zwykły zbrodniarz — kapo był obłąkany. Jeszcze raz Jakub powrócił do zwierzeń.

— Ty, głupcze — powiedział innym tonem. — Jeżeli sądzisz, że ty pójdziesz do nieba, a ja do piekła, to się bardzo mylisz. To ja, ja pójde do nieba, i stanę przed nim i stuknę się pięścią w pierś i powiem: twój Jakub przyszedł, twój wielki Jakub, którego nazywano mordercą. Cieszysz się mną, co? Przyszedł po swój medal, powiem. Tyś stworzył świat, tyś stworzył obóz, komendanta obozu, druty, psa, który zagryzał muzułmanów, a ja byłem w obozie pierwszy po tobie i po komendancie. Coś mi się za to należy, ha? Daj mi medal, powiem, złoty medal mi daj, za moją robotę bez fuszerki, kogo dotknąłem, ten się przewracał, coś mi się należy za to, co?

I huknął śmiechem.

— Pójde już — powiedział Hubert. — W głowie mi się kręci, pójde spać.

I wtedy weszła Elza, kapomanka z żeńskiego baraku. Patrząc na nią, miało się ochotę zapytać: Kim jesteś kobieto, kim jesteś, piękny aniele? Bo ona miała w sobie coś z anioła. Z jakiego nieba pochodziła i kto cię z tego nieba strącił? Była piękna. Subtelny owal twarzy, błękit dużych zamysłonych oczu, wdzięk postaci, jakby ożywionej z greckiej rzeźby — wszystko to wydawało się jakąś pomyłką w tej sytuacji, w tym czasie, który był czasem niewoli i śmierci, i w tym pokoju obozowym, gdzie mieszkali mordercy. Zła sława Elzy obiegła cały obóz. Okrutna. Należała do Jakuba. Hubert patrzył na nią pełen zdumienia. Anioł, piękny anioł, który za pomocą kija zgnęwał się nad starymi kobietami.

— To jest moja Elza — powiedział Jakub i skinął na nią palcem.

Podeszła do niego, posłuszna jak wytresowany pies. Zanurzył łapę w jej włosach, kilka razy przyciągnął tę złotą główkę ku sobie, to znów oddalał ją od siebie, tak jakby to była głowa manekina, oglądana przez człowieka krótkowzrocznego.

— No? — warknął. — Jak ci się podoba moja Elza? Towar, co?

Skrzypnęły drzwi, wszedł jakiś człowiek w pasiaku, jeden z tych, co za kawałek chleba i kilka papierosów stanowili orszak Jakuba, usługiwali mu, a także pełnili funkcje informatorów, donosili o wszystkim co się działo w barakach. Podeszedł do Jakuba i coś mu szepnął do ucha. Jakub wciągnął na siebie kurtkę i wyszedł. Hubert został sam z Elzą.

Zdjęła buty z cholewami i kurtkę. Po turecku usiadła na łóżku i patrzyła na Huberta, zdziwiona jego obecnością. A on opuścił głowę, rozmyślał ponuro, powinien był odejść, ale ta dziewczyna wywarła na nim dziwne wrażenie, nie mógł, nie chciał uwolnić się od jej obecności, zafascynowała go ta dziewczyna. Patrzył na nią skupionym i zachwyconym wzrokiem, tak jakby chciał ją na skroś przejrzeć i dotrzeć do tych pokładów dobroci, które w niej jeszcze drzemają — był bowiem pewny, że one są, nie mógł się pogodzić z myślą, że ktoś tak piękny jest z jednej tylko gliny ulepiony, z gliny zła.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytała gniewnie. — Ty!

I chlusięła na niego strugą wyzwisk, i on przez chwilę był nieprzytomny, oszołomiony tym potokiem ordynarności, a potem nie mógł powstrzymać się od śmiechu — jakiś makabryczny komizm tkwił w zestawieniu tych sprośnych słów, z subtelną twarzą dziewczyny, która je wypowiadała.

— Uspokój się — powiedział Hubert. — Nie jesteś taka zła. Jesteś biedna i zabił cię. Chętnie bym ci pomógł. Jesteś jeszcze dzieckiem. Myślę, że twoja matka także była piękna. Nie, nie zaprzeczaj, nie oszukasz mnie. Przez wiele lat byłem nauczycielem, umiem niekiedy odgadnąć co się kryje pod maską młodej dziewczyny. Nie jesteś zła, to twoje ręce są złe, głupie ręce, którym dano niewłaściwą zabawę, nie dobrą zabawę. Twoje serce, Elzo... Nie wstydz się, to nie wstydlivego, mieć serce. Słyszysz, Elzo, Elzo. Kochanie...

Umilkł. Przeląkł się własnych słów. Nad kim rozczuł się? Za chwilę powie, że ją kocha. A te kobiety, te stare kobiety, wleczone za włosy na placu apelowym? To Elza błąka się kijem.

Było cicho, na ścianie obojętnie tykał starożytny zegarek kieszonkowy. Własność wielkiego Jakuba, trofeum.

— Idź — powiedziała Elza. — Wynoś się, bo powiem Jakubowi, to ci kości połamię.

Podeszedł do łóżka i położył rękę na jej karku, na włosach, które były jasne jak len i jedwabiste.

— Jesteś dobra — powtarzał Hubert, wmawiał jej to całą siłą perswazyj, na jaką go tylko było stać. Bo intuicyjnie rozumiał, że wiele zależy teraz od tego, czy ona uwierzy.

— Nie wstydz się — powiedział. — Nie trzeba się wstydzć, że jeszcze jest się człowiekiem.

— A jak się nie jest? — przerwała. Jak się już nie jest człowiekiem? I jak się już nie chce być?

— Ale ty jesteś! — upierał się. — Masz serce, kochasz. Nie wiem tylko, kogo kochasz. Tych co żyją, czy tych co umarli. Może tych, których chciałabyś spotkać. Kiedy nie możesz spać, myślisz pewnie o nich, wyobrażasz ich sobie, nadajesz im imiona i twarze. Może nawet kochasz te chore i wycieńczone kobiety, które...

— Stał pyski — syknęła. — Bo odejde.

Za oknem ktoś szedł, słyszeli kroki, śnieg skrzył pod ciężkimi stopami wielkiego Jakuba mordercy.

— Elzo będę na ciebie czekał — powiedział Hubert. — Jutro wieczorem. Koło magazynu z drewniakami. Przyjdiesz.

W drzwiach stanął Jakub. Powiało chłodem. Hubert pożegnał się i wyszedł.

Nazajutrz temperatura spadła. Zerwał się wiatr, było zimno, mroźno. Stali na apelu zniechęceni, wystraszeni. Jeszcze jedna zima. Ostatnia? Ostatnia w obozie, czy ostatnia na świecie? Jeszcze przed apelem ktoś powiedział, że Elza szaleje, ma dzisiaj swój dzień, znęca się tak, jakby w nią diabeł wstąpił. Hubert pomyślał: bestia mści się za to, że ktoś naruszył jej spokój.

Wieczorem Hubert czekał na nią w ciemnym zakamarku między barakiem a magazynem z drewniakami. Nie przyszła jednak ani pierwszego wieczora, ani następnego. Zjawiła się dopiero po tygodniu. Zanim zdołał jej cokolwiek powiedzieć, otworzyła magazyn z drewniakami, ujęła Huberta za rękę i pociągnęła w ciemną głąb rupieciarni. Usiedli na stosie płóciennych butów z drewnianymi podeszwami i wsłuchiwali się w swoje oddechy, potem nieśmiało zaczęli rozmawiać, a każde ich zdanie i każde słowo, było jak gest ślepego, wyciągającego ramiona w głąb ciemności. I w tym ich dialogu było szaleństwo i naiwność, nieprzytomne zwierzenia, a także odrobina teatralnej pozy i próba ucieczki od świata pełnego okrucieństwa i śmierci.

Na dworze, za cienkimi ścianami baraku ktoś szedł. Przycichł, i wtedy Hubert poczuł na sobie ramiona Elzy. Przytuliła się do niego, poczuł zapach jej ciała, dotyk policzka i odnalazł jej usta.

— Jutro — szepnęła i wyrwała się z jego objęć. — Jutro i codziennie. Codziennie.

I zniknęła w mroku. Dokąd poszła? Może do Jakuba? Spotykali się więc codziennie. Ich rozmowy były odkrywaniem świata, zdobywaniem go na nowo. Szepem, chaotycznie i prędko usiłovali sobie jak najwięcej powiedzieć i usłyszeć. Potem kochali się w mrokach rupieciarni.



Rys. J. SIENKIEWICZ

Niekiedy powracało do nich widmo Jakuba.

— Jeżeli się dowie, zabije nas — mówiła Elza. — A nie chciałabym, żeby ci e b i e zabił.

Czasami nachodziło ją opamiętanie i pytała: — Jak to jest możliwe, żebyś ty mnie kochał? Żeby ktokolwiek mnie kochał? Jak to jest możliwe?

Albo: — Co będzie, kiedy wojna się skończy? Ludzie będą żyć, zapomną o tym, co ich bolało, opuszczą obóz. A ja? Zostanę tutaj, będę tu siedziała tak długo aż ktoś zlituje się nade mną i zastrzeli mnie.

— Nie mów głupstw! — skarcił ją Hubert, a pomyślał przy tym, że pierwszy dzień wolności, będzie zapewne dniem samosądu. I wówczas on, Hubert, zabije wielkiego Jakuba. A ilu więźniów ma takie same zamiary wobec Elzy? Kto ją zabije?

I Elza też może o tym samym myślała, to musiało w niej nurtować, ta świadomość otchłani, która ją otacza — bo to, że Hubert ją kochał, to jeszcze nie mogło zmienić rzeczywistości, oprócz Huberta był jeszcze Jakub, obozowy dryl, codzienny taniec na placu apelowym, muzułmanie i niewolnicy — to całe piekło, w którym jej przypadła w udziale haniebna rola okrutnej kapomanki.

Hubert usiłował wmówić jej nadzieję; zapewniał ją o możliwości rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Ale ona znała życie, wiedziała o życiu więcej niż wiedział Hubert. Wiedziała, co jest możliwe, a co jest niemożliwością.

Pewnego dnia na placu apelowym ustawiono kolumnę kobiet. To było po selekcji i wszyscy wiedzieli, w jakim celu formuje się tę kolumnę, nie pierwszy raz ustawiano kolumny do ostatniego apelu i do ostatniego transportu.

I tak jak zawsze, tak i tym razem słyszało się nieśmiałe głosy nadziei — że ten transport nie pójdzie do pieca, najlepszy dowód, że to same kobiety, kobiety, które będą zatrudnione w jakimś nowym szpiecie krawieckim czy w jakiejś fabryce.

I była w tej kolumnie stara kobieta, stara Żydówka — może jeszcze nie była stara, a zdawało się, że jest stara; była wygolona i strzep chustki ze szluzgiwał się z jej głowy, odsłaniając gładką czaszkę. Staniała się i osuwała na ziemię, nie mogła się utrzymać na nogach. I wtedy Elza — jeszcze z kijem w ręku — podeszła do niej i staruszka popatrzyła nieprzytomnie i osłoniła głowę ramieniem; kościasty łokieć nastawiła gestem obrony i otworzyła usta do krzyku, jaki miał nastąpić, gdy dosięgnie ją kij kapomanki. Ale Elza nie uderzyła. Ujęła kobietę za rękę, za ramię i wyprowadziła z kolumny. Pozostała po niej luka.

— Zaraz tu ktoś przyjdzie — powiedziała Elza i wszyscy to usłyszeli, wszyscy widzieli jak odprowadzała staruszkę w stronę robotnic, które miały iść do szopy. I wszyscy byli przekonani, że Elza zaraz kogoś przyprowadzi, bo przecież ilość — ilość w kolumnie musiała się zgaźdać.

Więc byli ciekawi, kogo wybierze, kto wyręczy starą Żydówkę w drodze do pieca.

Po chwili Elza wróciła i wszyscy zauważyli, że idzie bardzo wolno, i ociężała, bez kija — zwróciła uwagę na ten szczegół, i jeszcze rzuciła się w oczy, że szła zgarbiona, powłóczyła nogami i miało się wrażenie, że to idzie stara, zmęczona kobieta, stara i zrezygnowana, zboliała, słaba. Weszła w głąb kolumny i stanęła na miejsce staruszki. I wtedy wszyscy zwrócili uwagę na chusteczkę Elzy — miała na głowie trójkątną chusteczkę, i zauważyli także, że Elza nie ma już swoich jedwabistych pięknych włosów, które wyglądały jak żywe strugi złota.

I wnet otworzono przed nimi bramę.

Gdyby to było w czasach biblijnych lub w czasach tworzenia się legend homeryckich, ktoś zanotowałby może, że Elza wstąpiła do nieba. Ale w obozie nikt tak o niej nie powiedział.

A przecież odeszła pięknie. Pozostała piękna i powróciła do swej szlachetności.

Jej matka, która również zginęła w piecu, byłaby może dumna ze swej córki, gdyby mogła spojrzeć na nią stamtąd, gdzie już nie ma nic, prócz ciszy.

## Spotkania

## z Tysiącleciem

## NAJDAWNIEJSZE POLSKIE TEKSTY LITERACKIE

W Instytucie Badań Literackich PAN trwają prace nad sporządzeniem „Repertorium tekstów literackich w polskich rękopisach średnio-wiecznych”.

W celu uczczenia obchodów Tysiąclecia oraz rozszerzenia znajomości naszego najdawniejszego dorobku literackiego grupa pracowników IBL w ciągu blisko 6 lat wyszukiwała w starych archiwach i bibliotekach rękopisy, zawierające teksty literackie łacińskie i polskie powstałe do połowy XVI wieku.

Akcją rejestracyjną objęto prawie wszystkie nieskatologowane zbiory biblioteczne. Przedmiotem poszukiwań były: wszystkie teksty wierszowane, kopie tekstów antycznych, powstałych do końca V stulecia, wszelkiego typu teksty narracyjne, a także kroniki, apokryfy, żywoty świętych, opisy cudów, fałszywe, bajki, fantastyczne opisy zwierząt (zw. bestiariusze), kazania, homilie, księgi liturgiczne, traktaty retoryczne, gramatyki, encyklopedie, słowniki, komentarze do dzieł literackich oraz traktaty muzyczne.

Materiał zgromadzony w opisach i kartotekach, uzupełniony informacjami o rękopisach skatalogowanych oraz materiałem z bibliotek kościelnych, da pełny obraz kultury literackiej polskiego średniowiecza. Będzie to zarazem punkt wyjścia do opracowania i wydania „Repertorium tekstów literackich w polskich rękopisach średniowiecznych”, którego poszczególne tomy obejmą takie grupy piśmiennictwa, jak teksty językowe polskie, teksty antyczne, świecka poezja średniowieczna łacińska, hagiografia i in.

Jak wynika ze wstępnych analiz, polskich tekstów językowych odkryto stosunkowo niewiele. Na większe ich ilości natrafiono w niedostępnych dotąd bibliotekach klasztornych. Znalaziono natomiast dużo drobnych wierszy łacińskich polskiej proveniencji, które wejdą do przygotowywanego pod redakcją prof. M. Piezi pierwszego tomu „Corpus Poetarum”. Dokonano także szeregu interesujących odkryć, wzbogacających znajomość polskiej muzyki średniowiecznej.

## Antoni Kunysz

Kontakty pomiędzy poszczególnymi ludami czy krajami spełniały bardzo ważną rolę w rozwoju wielu społeczeństw. Wystarczy wspomnieć, że rola handlu miała tutaj szczególną wymowę. Nic więc dziwnego, że w zaraniu naszej państwowości kontakty handlowe i wymiana o charakterze „międzynarodowym” używając wspólnego wyrażenia, spełniała funkcję czynnika mającego duży wpływ na aktywizację gospodarstwa pewnych regionów kraju, czy niektórych ważniejszych ośrodków osadniczych.

O rozwiniętych kontaktach handlowych naszych ziem z krajami ościennymi, czy nawet bardzo odległymi posiadamy źródła dwójakiego rodzaju; przekazy pisane oraz importy (przedmioty lub monety obcych państw). Baza źródeł pisanych jest tutaj znikoma, ogranicza się do kilku relacji podróżników-kupców arabskich, bądź hebrajskich. Również nasi sąsiedzi zachodni — Niemcy żywo interesowali się naszymi ziemiami. Stąd powstało szereg cennych informacji o charakterze „militarnym” — zwracano głównie uwagę na rozpoznanie siły przeciwnika — ilości miejsc obronnych czy innych przeszkód, na które mogli natrafić niemieccy feudałowie, wyprowadzający się na ziemie słowiańskie.

Nie będziemy omawiać tego problemu na całym terytorium państwowości pierwszych Piastów, skoncentrujemy się na obszarach dzisiejszego województwa rzeszowskiego.

Jak wykazały badania archeologiczne w granicach województwa

Tadeusz Bednarski

# WOJĄŻ PRZEZ RZESZOWSZCZYNĘ POD POLICYJNĄ KURATELĄ

Nie należała do pięknych. Była raczej niska i tęga. Spód splicionego w turban indyjskiego szala spadały loki bujnych, kruczych włosów na inteligentne czoło. Błyszczące, wyrznięte oczy, zmysłowe usta, pulchne ramiona, wydane piersi i wzorowej piękności ręce — oto zewnętrzne cechy, podkreślone w świadectwach współczesnych, konterfektu pani de Stael, prekursorki romantyzmu i bystrej polityczki, która za pomocą pióra i bezpośrednio w swym literackim salonie głosiła poglądy wielkich i szlachetnych idei, wyrosłych w wieku Oświecenia.

Urodziła się właśnie przed dwustu laty — 27 kwietnia 1766 roku. Ale nie tylko ta rocznica skłania nas do przypomnienia tu tej niezwykłej kobiety. Rzeszowskie wypadło na trasie jej podróży w lecie 1812 r. Przy tym jeszcze bardziej intrygujące były jej niecodzienne perypetie z policją na tej właśnie trasie. By jednak lepiej zrozumieć cały ten splot wypadków, przypomnijmy — choćby w zarysie jej życiowe koleje.

Urodziła się w Paryżu, jako córka bogatego paryskiego bankiera — Jakuba Neckera, który dwukrotnie powoływany był przez Ludwika XVI na stanowisko ministra skarbu. Bankier i minister — sam syn profesora z Genewy — miał filozoficzne zainteresowania. Matka jej — córka kaznodziel, również Szwajcarka — interesowała się też literaturą. Tak więc Anna Luiza Herminia Necker miała odpowiednią atmosferę w domu rodziców, w których salonie przebywali wybitni pisarze i myśliciele. Sama, nieposłobnie uzdolniona i inteligentna, odebrała staranne wykształcenie i chwyciła za pióro jako kilkunastoletnia dziewczyna. W dwudziestym roku życia, jako przyszła dziedziczka wielkiej fortuny, wydana została — bez głębszego uczucia — za mąż za barona de Stael-Holsteina, który był szwedzkim posłem na dworze francuskim. Salon młodej literatki, która wydaje w 1788 roku „Listy o Janie Jakubie Rousseau”, i p. ambasadorowej zarazem, zaczęła odgrywać znaczną rolę polityczną. Nie wyliczając i nie komentując z braku miejsca jej politycznych rozpraw, stwierdzmy, iż prace jej „gminowładna tchnące wolnością” — jak określał je polski recenzent w „Dzienniku Wileńskim” w 1819 r. — niepokoiły władze.

Do śmierci ojca, tj. do 1804 roku pozostawała w Szwajcarii, wyjeżdża do Niemiec, lata 1804—1805 spe-

dza we Włoszech, a rezultatem tej podróży jest autobiograficzna powieść „Korynna”. Później, w latach 1807—1808 znów jest w Niemczech, a powstała tu książka „O Niemczech” zostaje na rozkaz Napoleona skonfiskowana. Inkwizytorstwo polityka cesarza sięga policyjnymi szczykami do Coppet w Szwajcarii. Na wiosnę 1812 r. pisarka postanawia uciec do Anglii. Blokada kontynentalna nie zezwala jej na drogę wprost. Z Szwajcarii jedzie przez Austrię, ziemie czeskie i polskie do Rosji. Wkrócenie tam wojsk francuskich przynagla jej wyjazd do Szwecji, a stamtąd przez Finlandię, w lecie 1813 r. płynię do Anglii. Tu pozostaje do zwycięstwa nad cesarzem — swym osobistym wrogiem. Jeszcze raz powrót Napoleona z Elby zawrócił ją do Szwajcarii. Po ostatecznej porażce cesarza powraca do Paryża, pisząc „Rozważania nad rewolucją francuską”, nad których redagowaniem umiera 13 lipca 1817 r.

Powróćmy więc do polskiego epizodu jej życia, opisanego w pamiętniku „Dziesięć lat wygnania”. Przypomnijmy daty: 6 czerwca była w Wiedniu, po pobycie w nim, kilka dni spędziła w czeskim Brnie — stolicy Moraw. W dniu 1 lipca przybyła do cyrkularnego Rzeszowa (nie podaje jednak nazwy tej miejscowości). W podróży tej towarzyszy jej częsty gość jej salonu, podzielił się politycznymi i literackimi poglądami naszej bohaterki, wybitny filozof niemiecki — August Wilhelm Schlegel. W Łańcucie zamierzała spędzić dwa dni, odwiedzając Lubomirskich, z którymi poznała się w Genewie i utrzymywała korespondencję. I tu w owym cyrkularnym urzędzie, do którego wszedł jej syn zawiżować paszport, zaczęła się udreka pani baronowej z galicyjskimi służbistami w austriackich mundurach.

Okazało się, iż pisarka może w Łańcucie zatrzymać się jedynie 8 godzin i od tej chwili towarzyszyć jej będzie wszędzie komisarz policji. Za berlinką de Stael, w karcie podał nazwany szpieg i świadomość tego wywołała nawet nerwowy szok w drodze do zamku. Tak powozy wtoczyły się na dziedziniec łańcuckiego pałacu. Przy stole, gdzie hrabia Henryk podejmował gości, towarzyszył również ten sam komisarz policji. On też po kolacji obwieścił młodemu baronowi, iż wedle rozkazów powinien towarzyszyć jego matce również... w nocy, jednak „ze względu na nią samą tego nie zrobi”. Nie spieszy

bezcelnością policyjnego natręta — baron odrzekł: „Możecie dodać, iż ze względu na siebie — o ile bowiem postawicie nogę w pokoju mej matki, wyrzucę was przez okno”. Przy śniadaniu sekretarz księcia tak dobrze zadbał o jedzenie i... picie komisarza, że wyjazd z konieczności opóźniony został znów o kilka godzin. De Stael podkreśla gościnną atmosferę w Łańcucie wobec emigrantów francuskich, mówi o pięknie pałacu i ogrodu (których nje zdążyła dobrze zobaczyć), o miłym klimacie przypominającym jej południe. Opuszczała Łańcut „wylewając łzy i nie wiedząc, co jej nie będzie oszczędzone podczas 50 mil pozostających do przebycia na terytorium austriackim”. Komisarz towarzyszył jej odprowadzając emigrantkę, by przekazać pieczę nad nią innym swym zaufanym. Tak, w otoczeniu grenadierów, poznała jeszcze przejazdem galicyjską stolicę — Lwów.

Brak papierów policyjnych właśnie z 1812 r. w dokumentach Wojewódzkiego Archiwum Akt Dawnych w Krakowie nie może nam potwierdzić perypetii pisarki. Kraków zresztą — wbrew sugestii angielskiego źródła — na pewno nie leżał na trasie przejazdu pisarki, wchodził bowiem w teren sprzymierzonego najbliżej z Napoleonem Księstwa Warszawskiego. Prasa krakowska i lwowska, pełna w tym okresie doniesień z frontu wojny Napoleona z Rosją, nie zauważyła lub może wolała nie dostrzec polskiego epizodu niewygodnej dla cesarza Francuzów emigrantki, która zarówno we wspomnianym pamiętniku, jak i w innych pracach niejedno zdanie poświęciła Polakom.

To w salonie de Stael — jak pisał Stanisław Wasylewski w książce „U księżnej pani” — księżna d'Abrantès podziwiała u Kościuszki „imponującą postawę i postać pełną gracji”. I na odwrót. Baronową de Stael interesowali się Polacy — co jednak charakterystyczne — w podawanych w naszej prasie XIX-wiecznej życiorysach pisarki nie wspomniano o przejeździe przez polskie ziemie. We wstępach do wydanych w Polsce w ciągu ostatnich dwunastu lat w II serii „Biblioteki narodowej” — „Wyboru pism krytycznych” i „Korynny” de Stael, autorka tych opracowań A. Jakubiszyn - Tatarkiewiczowa marginalnie napomyka o pobycie wielkiej Francuzki w Polsce, więc też i z tego względu anegdotalny opis przygód tej peregrynacji wydaje się wart przypomnienia.



M-me Anna Luiza Herminia de Stael (fotokopia ze zbiorów graficznych Biblioteki Jagiellońskiej).

## LUDMIŁA PIETRUSZKOWA

Może



Dzięk nam rozległe dale  
długością rąk mierzone  
i pleśń milczenia  
nabrzmią treść zamyka  
może  
wystarczyłby jeden mały ruch dłoni  
może  
jedno tylko słowo  
ale najtrudniej jest właśnie  
przejsć przez może



# KONTAKTY NASZYCH ZIEM

rzeszowskiego znaleziono szereg importów obcych. Do najstarszych w odniesieniu do wczesnego średnio-wiecza należy zaliczyć monety bizantyjskie z Przemysła oraz Biecz (około VI wieku). Z późniejszych czasów pochodzi gemma bizantyjska — amulet z X wieku znaleziony w końcu XIX wieku na terenie Przemysła (Ryc. 1). Wykopaliska na terenie Przemysła przeprowadzone w ostatnich latach przyniosły w wyniku dalsze zabytki bizantyjskie tzw. pectoralia znane w kilku egzemplarzach. Jeden pectoral znaleziono również na terenie Krosna. Zabytki te datować można na wieki X—XIII. Ciekawym znaleziskiem jest moneta bizantyjska cesarza Commena z początku XII wieku znaleziona w Bieczu.

Na obszary nadszańskie docierać musiały importy z odległych krajów arabskich. Droga tych kupców przebiegała przez teren Rusi, z Kijowa przez Białogrod, Zdwizen, Miecz, Luck, Włodzimierz Wołyński, Czerwień, Sutiesk, Sandomierz do Przemysła. O dużym znaczeniu Przemysła jako etapu drogi handlowej Kijów — Praga, świadczy fakt znalezienia w roku 1849 na terenie miasta wielkiego „skarbu” monet (około 700 sztuk) dynastii Samanidów z X wieku; państwa bardzo silnego, obejmującego północno-wschodni Iran i przyległe ziemie Azji Środkowej. W innym punkcie Rzeszowszczyzny na terenie Gorlic znaleziono również monetę arabską tzw. fels z IX wieku (Ryc. 2). Znaleziska te są dowodem świadczącym o kontaktach naszych ziem z odległymi krajami arabskimi.

Do tego okresu odnieść można kapitalne przekazy arabskie i hebrajskie dotyczące jednego z naszych najstarszych miast — Przemysła. Jeden z uczonych żydowskich z XI wieku, rabbi Jehuda ben Meir ha-Kohen napisał dzieło, w którym znajdują się wzmianki dotyczące grodu nad Sanem. Oto fragment tej informacji w tłumaczeniu „Dwa bracia, małe sieroty, wychowywali się u krewnych. W kraju wybuchy zamieszki, krewni uszli i pozostawili ich na wsi u pewnego nie-Żyda, ażeby byli pod jego opieką, ponieważ uszyśli, że przybywa do nich wojsko. Byli tam przez dłuższy czas. Krewni obiecali mu (tj. owemu nie-Żydowi) opłatę za opiekę. W końcu przybyli krewni w celu wykupienia (ich) i zapłacenia sumy, którą przyobiecali (owemu) nie-Żydowi. Ten ujrząwszy ich rzekł do nich: z chłopców waszych jeden zmarł, a drugi ot stol przed wami. I dali nie-Żydowi coś niecoś, zabrali chłopca i odeszli. Chłopak wychowywał się u nich, dopóki nie pojał żony. Żył z nią tylko jeden miesiąc i umarł... Właśnie wtedy przypadkowo przybył tam (tzn. do miejsca zamieszkania zmarłego) pewien człowiek z naszej gminy, tj. gminy, do której należał człowiek proszący Jehudę ben Meira o decyzję, którego imię było X. Kiedy siedzieli nad zmarłym, zaczął pytać i dowiadywać się o niego, czy miał on brata lub syna. I odpowiedział mu jeden z siedzących: Mój panie! Byli to dwaj bracia. W czasie zamieszek w Polonii (tj. Polska) wzięli nas do niewoli z miasta Primis-

(Premisz)... Po pewnym czasie uszyśleliśmy, że nie-Żydzi przyprowadzili do Pragi pewnego chłopca, aby go sprzedać. Powiedział on, że został porwany z miasta Primisz (Premisz). Sprzedany został pewnemu Żydowi jemujskiemu (tj. bizantyjskiemu)...” Jak wykazały badania uczonego ukraińskiego J. Bruckusa (w pracy Piersi zwistki pro Jewreiw u Poliszci ta na Rusi 1927 r.) Primisz zidentyfikował z Przemysłem. Również badania wybitnego polskiego orientalisty prof. dr. T. Lewickiego wzmiankę tę wiążą z Przemysłem, opisane zaś wydarzenia odnoszą do lat 1030—1031, do wypraw księcia Jarosława Mądrego, w czasie których Rusini zdobyli na Polsce Bełz i Grody Czerwieńskie. Nie jest wykluczone, że mogli wtedy złupić i gród przemyski nad Sanem. Lako-

niczne wzmianki, jakie odnoszą się do tego czasu nie pozwalają nam wyrobić sobie pełnego zdania na ten temat, może istnieć związek opisanego wyżej wydarzenia z roku 1018 z wyprawą króla Bolesława Chrobrego na Kijów. Inne źródła arabskie, tzw. „Traktat o geografii powszechnej”, arabskiego autora Idrisiego, który pochodzi z roku ok. 1154, podaje nam również informacje o Przemysłu. Źródłem dla owego geografu musiały być informacje kupców arabskich, którzy mogli przebywać w Polsce. Trzeba tutaj nadmienić, że wzmianki o gminie żydowskiej z XI wieku w Przemysłu, czy inne późniejsze dane, jako miejsce, gdzie składano towary (ok. 1152 r.) dowodzą poważnej roli Przemysła w stosunkach handlowych. Warto tutaj przypomnieć,



że analogicznie gminy żydowskie posiadały w owym czasie tylko takie ośrodki jak: Kijów, Kraków, Praga.

Z terenu Przemysła posiadamy poza tym szereg importów z terenu Rusi Kijowskiej: przeszłki z różowego lúpku wołyńskiego, bransolety szklane itp. Zabytki te dowodzą, że istnieć tutaj musiały silne wpływy ruskie, szczególnie w wiekach od końca XI do XIII wieku. Również zabytki pochodzące z terenu zachodniej Europy dowodzą, że z tamtymi krajami utrzymywa- no żywe kontakty handlowe.

Śladem tych kontaktów jest moneta kolońska Ottona III (X wiek) znaleziona w Przemysłu. Poprzez klasztor w sztuce sakralnej odzwierciedlają się wpływy frankuskie. W Przemysłu znaleziono piękny krzyż złożony i emaliowany, który posiada wiele analogii do zabytków z Limoges we Francji.

Przytoczone tutaj znaleziska i przekazy źródłowe dowodzą, że nasza ziemia posiadała szerokie kontakty z ówczesnym „szerokim” światem. Znaczenie tych kontaktów było duże. Szczególnie wpływało ono na zagęszczenie osadnictwa wzdłuż szlaków handlowych. Ludność bowiem zaopatrywała się w przedmioty pochodzenia „zagranicznego”, przyswajając sobie wiele nowych rzeczy z dziedziny kulturalnej i gospodarczej. Upowszechniała się moda ówczesna na kosztowne wytwory z Bizancjum, Kijowskiej Rusi itp.

Trzeba tutaj nadmienić, że kupcy ówczesni bardzo często zajmowali się „wywiadem”, w ich ślady często później wkraczała ekspansja zbrojna oraz podboje. Mimo tej ujemnej cechy, handel i wymiana odgrywały zawsze bardzo pozytywną rolę w aktywizacji regionu.

Franciszek Kotula

# Interesowali się nie tylko domami przysługowymi

Na podstawie różnych rozmów doszedłem do przekonania, że artykułu S. Lwa nie rozumiało wielu czytelników, nawet ci, którzy w takich domach mieszkają. Termin bowiem „dom przysługowy” jest terminem roboczym, spekulatywnym, natomiast terminem ludowym, etnologicznym (etnonimem) jest „chałupa na owiąz”. Autor artykułu popełnił zasadniczy błąd, nie wyjaśniony tak zjawiska, jak i terminu. Nie wszyscy są etnografami. Otóż: Przy normalnej chałupie drewnianej, zwanej powszechnie „wieńcówką”, najwyższe beleczki nazywane są „płatwiami”. Na nich to opiera się krokwie. Tedy dach spoczywa bezpośrednio na zrębie, ciśnie go, dusi, wypycha w ziemię. Takie chałupy niszczyły przede wszystkim od spodu.

Przy chałupach „na owiąz”, obok wykończonego zrębu stawia się słupy parami: przy ścianach tak fron-

dy osadnictwa śląskiego. Znow bez powołania się na źródła. Co do pierwszego twierdzenia nie będę się spierał, jest to prawdopodobne. Ale co innego są ślady, a co innego zwarte osadnictwo, na które składa się kilkanaście miejscowości. Zaś co do drugiego, to Śląsk jest krainą długą i szeroką i budownictwo przysługowe nie wszędzie występuje. Autorzy niemieccy określili je bardzo szczegółowo. Jeśli porównać mapkę w mojej rozprawie, powyżej cytowanej z 13 miejscowościami, w których zbiegają się domy przysługowe z osadnictwem śląsko-łużyckim, to tutaj zgadzam się z autorem omawianego artykułu. Ciekawych zaś odsyłam do gruntownej pracy Zdzisława Kaczmarczyka pt. Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry, Poznań 1945, gdzie na str. 126—127 stwierdza zwarte osadnictwo śląsko-łużyckie w jednym miejscu (Łańcut) i 9 wsiach. Jeśli

Czy pani Gisela rzeczywiście z wyjątkową pasją zajmowała się domami przysługowymi? Otóż: wśród mnóstwa rycin w tekście nie ma ani jednej, odnoszącej się do tego zjawiska, na 36 rycin w części albumowej tylko 4 (słownie: cztery) przedstawiają domy przysługowe. Nie one były więc centralnym zagadnieniem w badaniach „naszej” historyczki (?).

Czytelnik niewątpliwie będzie ciekaw, co było celem badań, G. Hildebrandt, przeprowadzonych nie tylko — według S. Lwa — w Markowej, Gaci, Albigowej i Wysokiej, ale także w Białobokach, Dębowie, Urzejowicach i Krzeczowicach. Ale przede wszystkim w Markowej. Chodziło o to, aby mieszkańców tych wsi, a zwłaszcza markowianków przekonać, że są pochodzenia niemieckiego, przybyli tutaj w ramach XIV-wiecznej akcji kolonizacyjnej — tego i polscy uczeni nie negują — i że gremialnie powinni wrócić z powrotem na lono „Grossdeutschland” (Wielkiej Rzeszy). Argumentami w tej akcji, prowadzonej przez p. Gisela i jej sztab miało być wszystko, jako „urdeutsch” (praniemieckie); a więc zagrody, sam układ wsi, ale przede wszystkim nazwiska. Dla tamtych ludzi, przeprowadzających akcję reorganizacyjną, wszystko było jednakowo ważne. Mimo tej szalonej akcji, na ponad 4.000 mieszkańców Markowej, z rodowitych Markowian nikt a to nikt nie podpisał nie tylko Volks, ale nawet Deutschstämmig — listy. Cała akcja zdała się psu na buty.

To tyle co do charakteru artykułu S. Lwa i zastosowanej przez niego metody. Dodam jeszcze: wykazałem, że koloniści przybyli z terenów słowiańskich i przywieźli z sobą elementy kultury słowiańskiej, nie niemieckiej (zob. Pochodzenie domów przysługowych w Rzeszowskim).



Chałupa przysługowa — XIX/XX w., Białoboki pow. Przeworsk. Fot. T. Kotula

owych, jak i tylnich. W górnej części spina się na poprzek chałupy całym systemem beleczek i taka konstrukcja jest samą dla siebie. Może stać niezależnie od zrębu, zrąb właściwie z owiązem nie jest powiązany. Dopiero na szczytach słupów kładzie się płatwie, na których z kolei opiera się krokwie. Tedy dach, nieraz bardzo ciężki, bo namoknięty lub przykryty czapą śniegu — nie naciska na zrąb, ale tylko na słupy. Te — kiedyś tylko dębowe — nie są wkopane w ziemię, ale stoją na kamieniach, wzniesionych ponad powierzchnię gruntu. Tego rodzaju chałupy, powszechne koło Łańcuta i Przeworska, są znacznie wytrzymałsze od wieńcówek. Do dziś zachowały się okazy nawet z II połowy XVIII w.

Omawiany artykuł S. Lwa ma ambicje być artykułem naukowym, usiłuje — chociażby przez stawianie hipotez — powiązać problem Chorwatów z problemem domów przysługowych, w pewnym stopniu rozwiązać jeden i drugi. A należy stwierdzić, że i wśród tzw. „domów przysługowych” są różne typy i różne konstrukcje, które mogły powstać niezależnie od siebie. Ale wiązanie różnych ośrodków tego zjawiska w jeden ciąg od Sanu poprzez Sudety do Saksonii, to odważa nie lada. Bo jeśli chodzi o Chorwatów (Chorbatów), to tym problemem zajmują się najwybitniejsi uczeni, tak polscy jak i inni, stawiają bardzo ostrożne hipotezy, ale tak obudowane aparatem naukowym, jak budujący się dom rusztowaniami. Czy ten problem można rozwiązać w artykule prasowym, nie mówiąc dokładnie co to za problem?

Prace mające ambicje naukowe, chociażby tylko popularne, powinny być opatrzone chociażby skromnym aparatem naukowym, przypisami. Autor omawianego artykułu, powołując się na Czekanowskiego — zresztą niezbyt trafnie — nie podaje źródeł jego wypowiedzi. Polemizując ze mną, też nie podaje mej rozprawki, skąd wziął przytoczony cytat. Ciekawego odsyłam do mej pracy, a to: Pochodzenie domów przysługowych w Rzeszowskim, Kwartalnik Historii Kultury Materialnej nr 3—4/1957, s. 551. W 24 przypisach powołałem się na źródła autorów polskich i niemieckich, w rozprawie zamieściłem wiele rycin, również na uzasadnienie mej hipotezy.

S. Lew twierdzi, że domy przysługowe występują na terenie b. woj. ruskiego w 47 miejscowościach, zaś aż w 85 miejscowościach są śla-

przyjmie się, że osadnicy tworzyli wtórne osadnictwo, w którymś tam pokoleniu (np. Czarna pow. Łańcut), to będziemy całkiem w domu. Tylko nie S. Lwa.



— „Dlaczego hitlerowcy interesowali się domami przysługowymi”. Tę tezę ma niby uzasadnić powołanie się na artykuł w wydawnictwie — według autora — „Des Instituts für Deutsche Ostarbeit” w Krakowie. Faktycznie S. Lew tezy nie uzasadnia, wskazane zaś przez niego wydawnictwo nazywało się: „Schriftenreihe des Instituts für Deutsche Ostarbeit Krakau, Sektion Landeskunde” (Band 1). Właśnie w tym zeszycie jest artykuł Giseli — nie Gerty! — Hildebrandt, pt. „Dorfuntersuchungen in den alten deutsch-ukrainischen Grenzreich von Landshut”, Kraków (Krakau) 1943. Artykuł jest obszerny, od s. 97—169, z dodatkiem części albumowej, na którą składa się 36 rycin (fotograficznych), niezależnie od bardzo wielu rycin rysunkowych w tekście.

Przedo wszystkim: pani Gisela była bardzo kiepskim historykiem, kiedy nazwę Łańcut wywodzi od „Landshut”. Landshut jest miejscowością w Bawarii i nasz Łańcut z tym Landshutem nie ma nic a nic wspólnego. Łańcut powstał jako rój — że się tak obrazowo wyrażę — ze śląskiego, prapolskiego miasta Kamiennej Góry, które Niemcy nazywali „Landshut” (Zob. F. Kotula, Z dziejów Wojew. Archiwum Państw. w Rzeszowie, Rocznik Woj. Rzeszowskiego Rok IV, s. 419).

# Pamięci Janiny Stojalowskiej

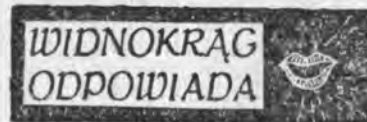
Nierzadko działalność i osiągnięte wyniki pracy ludzi mniej może przykładać wagę za życia do zapobiegliwego urabiania sobie rozgłosu, pozycji, sukcesów idąc w zapomnienie, a ich dokonania przejęte z biegiem czasu przez innych, stają się po latach czymś naturalnym, stanowiącym oczywistą zdawałoby się bazę i odskocznice do dalszych rozwinąć i kontynuacji. W tych wypadkach sięgnięcie pamięcią wstecz, przypomnienie, odświeżenie, porównanie, a przede wszystkim oddanie właściwej miary ludziom i ich dokonaniom, musi się stać obowiązkiem dla tych, którzy z racji swojego w czasach i pracach przeszłego okresu uczestniczenia, posiadają osiągnięty wobec tamtych spraw dług moralny i społeczny nakaz pozostający do wypełnienia.

Janina Stojalowska, długoletnia nauczycielka i organizatorka rzeszowskich szkół muzycznych i życia muzycznego miasta była przez wiele lat postacią w środowisku muzycznym Rzeszowa wyścieśnioną, a jej osiągnięcia pedagogiczne, wychodzące daleko poza granice, będącego dopiero w początkach późniejszego tak obiecującego rozwoju województwa, należały uznać i cenione. Czas jednak, który upłynął od jej śmierci (kwiecień 1959 r.), obecne dokonania i sukcesy młodego rzeszowskiego środowiska muzycznego, wpłynęły i wpływać będą na pewno, w stopniu coraz bardziej znaczącym, na osłabianie starzych związków, zapominanie wśród młodszych ludzi, spraw i problemów, o dawnych osiągnięciach i pierwszych organizatorach życia muzycznego w Rzeszowie, których Janina Stojalowska była jedną z najwybitniejszych przedstawicieli.

Urodzona w roku 1888, uczęszczała do lwowskich szkół muzycznych; uczyła w

okresie międzywojennym w szkolnictwie muzycznym Poznania. Po II wojnie światowej znalazła się w Rzeszowie, gdzie pomimo nie najlepszych warunków materialnych, otoczona swoimi ulubionymi uczniami, oddawała się z największą pasją swojej ulubionej pracy — pedagogice fortepianowej. Odebrane jeszcze w lwowskim okresie studia i bliższe przejęte w osobistych kontaktach z wybitnym, legendarnym dziś już wirtuozem Ignacym Friedmanem uwagi i spostrzeżenia dotyczące rozwijania metier pianistycznego, czyniły z lekcji J. Stojalowskiej nie tylko niezwykle przyjemne spotkania, ale przede wszystkim owocne dla późniejszego rozwoju ucznia pedagogiczno-artystyczne kontakty. Ponadto duży urok osobisty, skromność i życzliwość, tak przecież nieczęsto spotykane przymioty ludzi ze światła artystycznego, czyniły w powiązaniu z wysokimi kwalifikacjami zawodowymi z Janiny Stojalowskiej człowieka, o którym wspomnienie powinno pozostać nie tylko w pamięci jej uczniów, ale której według właściwej miary czasu i działań ludzi oceniona praca i dokonania, winny być w jakichś innych, nie tylko rocznicowych, uroczystych formach. Dlatego też zwracając uwagę na zapomnianą dziś już sylwetkę prof. J. Stojalowskiej proponuję nadanie którejś z rzeszowskich szkół muzycznych jej imienia, bądź też porozumienie się co do zorganizowania w Rzeszowie szkolnego konkursu muzycznego pamięci jej poleconego choćby tylko w zastępstwie polewoźskim. Wydaje mi się, że zrealizowanie propozycji tych byłoby najważniejszym dowodem uznania jej pełnej skromności i poświęcenia pracy.

JERZY SKARBOWSKI



W. Z. RZESZÓW: Niestety fragment nadesłanej nam powieści z życia „złotej młodzieży” nie ma wartości artystycznych. Wydaje nam się, iż mimo wszystko więcej w tym mody i konwencjonalizmu w sposobie widzenia życia „nastolatków”, jak autentyzmu. Poza tym poprzestaje Pan na opisie zewnętrznym, na obrazkach dość zresztą drastycznych, nie wnikając w motywy postępowania bohaterów. Tą drogą nie da się niczego osiągnąć. Treba się najpierw zastanowić, dlaczego tak jest...

ANIELKA Z LUKOWEJ: Wiersz „Moda” miał być prawdopodobnie złośliwym (tak przynajmniej wynika z przypisu), a jest po prostu niedobry. Jeśli Pan jest wielbicieleką poezji klasycznej, jak czytamy w liście, to chyba także nie najlepszej, sądząc po wynikach. Sugeruję nam Panu, że teraz jest socjalizm więc drukujemy tylko poematów partyjnych. Zapewniamy, że wiersza „Moda” nie wydrukowalibyśmy choćby Pani była członkiem kilku partii.

M. K. NOWA DEBA: Niestety wiersze są złe, mimo pewnej kultury. Są zbyt werbalne i łatwe, tracą „częstochowską” nie skorzystamy.

WU-KAZ STRZYŻÓW: Wiersz „Wigna Tysiąclecia” nie nadaje się do druku. Jest zbyt deklaracyjny i zbyt publicystyczny. Brak w nim ładunku poetyckiego.

A. C. SARZYNA, J. V. DEBICA, H. G. SEDZISZÓW, W. S. MIELEC: Nie skorzystamy. Wiersze nie mają żadnych wartości artystycznych.

Wszystkich naszych korespondentów, oczekujących na ocenę lub poradę, Dział Poezji prosi o przysyłanie co najmniej kilku utworów napisanych starannie i czytelnie.

Dom przysługowy na Śląsku wg Heinricha Franke, Ostgermanische Holzbaukultur, Wrocław 1936, s. 44.

Antoni P. S. N. Przemysły: Nigdy nie przypuszczaliśmy, że artykuł „Przemyska inicjatywa” jest „bezpodstawnym atakiem” na kurs kult.-oświatowy przy SN-ie w Przemyslu. Sam tytuł i wnioski świadczą o zupełnie odmiennych zamiarach autora. Pan tymczasem traktując z nonszalancją autora artykułu jako „kolegę” żąda sprostowań. Nie pisaliśmy o programie SN-lecz o programie kursu — nie widzimy potrzeby sprostowań. Radzimy uważnie czytać nasze artykuły i hamować swój temperament kultury.

## Nie Ignacy Łukasiewicz lecz Kazimierz Odrzywolski

Jako długoletni czytelnik pisma „Nowiny Rzeszowskie”, oraz jako przewodniczący Zespołu Historii Polskiej Techniki Naftowej przy Zakładzie Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, pozwalam sobie zwrócić Państwu uwagę na pewną nieścisłość, jaka wkradła się do artykułu P. Władysława Boczara pt. Polski Prometeusz buntownikiem, zamieszczonego w Tygodniku Kulturalnym „Widnokrąg” nr 14 z dnia 10 kwietnia 1966 r. „Nowiny Rzeszowskie” nr 84 (9, 10 i 11 kwietnia 1966 r.).

Mianowicie zamieszczony w tym artykule portret, nie jest podobizną Ignacego Łukasiewicza, lecz Kazimierza Odrzywolskiego (w jego młodszym wieku). Na dowód załączam odbitkę z oryginalnej fotografii Kazimierza Odrzywolskiego.

Ten portret Kazimierza Odrzywolskiego znalazł się omyłkowo w pracy P. Jerzego Orlewskiego pt. Spisek w aptece. Rzecz o Ignacym Łukasiewiczu. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa 1959 r.

P. Jerzy Orlewski, jakkolwiek zwrócono mu uwagę na tę pomyłkę, nadal zamieszcza tę fotografię jako podobiznę Ignacego Łukasiewicza. (Patrz Jerzy Orlewski. Kariera nafty. Warszawa 1965 s. 23).

Na tę niewłaściwość zwrócił mi również uwagę podczas jednej z rozmów, P. Tadeusz Odrzywolski, zamieszkały w Krakowie. Jest on synem Kazimierza Odrzywolskiego, którego podobiznę Ignacego Łukasiewicza (w młodszym wieku) zamieszczoną w tej samej książce P. Jerzego Orlewskiego, pomiędzy stronami 20 i 21, albo też jakąś fotografię z późniejszych lat, które można znaleźć w odpowiednich publikacjach o Ignacym Łukasiewiczu. Np. dobra jest odbitka z portretu Ignacego Łukasiewicza, namalowanego w 1884 r. przez Andrzeja Grabowskiego, wybitnego polskiego portreciście. Odbitka z tego obrazu znajduje się w książce Ludwika Tomanka pt. „Ignacy Łukasiewicz, twórca przemysłu naftowego w Polsce”. Miejsce Piastowe, 1928 r.



Kazimierz Odrzywolski 4 III 1860 — 1 XI 1900 — ze zbiorów prof. Janina Czajki z Krakowa.

PROF. MGR INŻ. JAN CZAJKA

W kwietniu o 1 Maja

# PRAWDA, PRAWDA CZARNOLESKI JANIE...

W kalendarzu jeszcze kwiecień, ale atmosfera już niemal majowa, ścisłej — pierwszomajowa. Wystarczy przekroczyć bramę którejś z fabryk, wejść do komitetu partii, ZMS czy Frontu Jedności Narodu; wszędzie ta sama przedświąteczna gorączka — telefony, narady (zaplanowane i niezaplanowane), meldunki, polecenia... Gazety na ezolowych miejscach zamieszają informacje o zobowiązaniach załóg, o czynach społecznych.

Już od lat siedemdziesięciu i sześciu 1 Maja w Polsce daje o sobie znać, tyle że w różny sposób.

Mój dziadek, im bliżej maja, tym bardziej unikał domu i baczny pilnie, czy nie śledzi go carski szpieg. Za czasów jego młodości demonstracja robotnicza, to był — jak pisał Żeromski — „żywy poisk torujący drogę wolności”. Dziadkowi bardzo więc zależało, żeby wziął udział w pochodzie pierwszomajowym, „fiolkom” natomiast (tak nazywał żandarmów), żeby mu ten zamiar udaremnić.

Ja manifestację pierwszomajową widziałem po raz pierwszy mając lat dziesięć, licząc inaczej — w osiemnastym roku niepodległości Polski. Wówczas też po raz pierwszy w życiu zobaczyłem karabin maszynowy. Trzydzięci lat upłynęło od tamtego czasu, a pamiętam jak dziś, skurez leku na widok lufy sterzącej z policyjnego motocykla; lufy wymierzonej w tłum maszerujących mężczyzn i kobiet.

W Starachowicach — bo tam się to działo — nie polatała się krew tego dnia, ale w innych miastach byli tacy, którzy z demonstracji pierwszomajowej nigdy już nie wrócili.

Przedwczoraj poszedłem na wywiadówkę. To już ostatnia, za kilka tygodni syn zdaje maturę. W halu ZMS-owcy wywiesili gazetkę ścienną. Pachniała jeszcze klejem i farbami. Teksty otwiera tułwowska strofa:

„Prawda, prawda, czarnoleski Janie;  
„Serce rośnie patrząc na te czasy!”

Tętnem krwi czerwono-chorągwianej  
Zaszumiały nasze miasta jak lasy!”

U dołu na całą szerokość: „Nie chcę Ci dać na wycieczkę z „Orbisem” — podróżuj z nami do czasów Mieszka!”

W taki oto sposób „wyż” agituje do udziału w szkolnym quizie „Sto pytań z Tysiąclecia”.

Najbliżsi historycy nie potrafiliby ustalić kolejności stu najważniejszych wydarzeń w tysiącleciu państwa polskiego, ale niewątpliwie żaden z nich nie pominąłby roku 1890 — pierwszych na ziemiach Polski manifestacji majowych. Otwierały one bowiem nowy rozdział walk narodowowyzwo-

leńczych, zapoczątkowanych przez „Wielki Proletariat”, Ludwika Waryńskiego, walk podjętych przez nową klasę. Stanowiły one rozwinięcie koncepcji politycznej, iż oparcia szukać należy „nie wśród rządu, lecz wśród ludów Europy”.

Słuszności tego kierunku działania nie trzeba dziś uzasadniać, uczyniła to historia — nauczycielka życia.

Przeglądam tegoroczne hasła pierwszomajowe. Za dni niewiele zacierzają one na brzmieniu nazw fabryk, hut, kopalń, na ścianach gmachów i domów mieszkalnych. Wzywają do rozwijania współzawodnictwa dla wykonania planów gospodarczych nowej pięcioletki, nawołują do podnoszenia jakości i nowoczesności produkcji, do wdrażania nowej techniki, rozwijania czynów społecznych do udziału w budowie internatów... Inne odnoszące się do sytuacji międzynarodowej podkreślają nasze pokojowe dążenia, braterstwo z narodami Związku Radzieckiego, wspólnotę idei i celów łączących nas ze wszystkimi sąsiadami. Już choćby to jedno, ostatnie, uzasadnia hasło „Polska Ludowa ukoronowaniem Tysiąclecia dziejów narodu i państwa polskiego!”.

Według hasła pierwszomajowych, począwszy od tamtych z roku 1890, można by odtworzyć drogę ludu polskiego, jaką przeszedł on od ostatnich dziesięcioleci wstępnego po dzień dzisiejszy. Od manifestacji masakrowanych przez żandarmów trzech zaborców, a potem przez polię granatową, do święta państwowego, ogólnonarodowego. Od „Żadamy chleba i wolności!” do „Wykorzystujemy wszystkie słuszne wnioski i pomysły załóg dla przedterminowego wykonania nowego planu pięcioletniego!”.

Kiedy konfrontuje się te dwa, jakże różne hasła zrodzone przez jedną i tę samą ideę, i w tak krótkim przecieście historycznie czasie, myśl wraca do słów poety wybranych przez „wyżowe” pokolenie na motto do ich gazetki: „Prawda, prawda, czarnoleski Janie...”.

WL. ORSZA



Piękna jest legenda Jana Baranowicza o brzeskich Piastach i piastowskim dębie, któremu usychała gałąź, kiedy jedno z księząt umierało, ale nie sądzicie, że legenda jest tylko bajką, nie mającą refleksu we współczesności, która ją zrodziła. Zagadnienie legendy, która wiąże się z historią, jej znaczenie dla historii — to temat tak bardzo szeroki i pasjonujący podany przez prof. Konstantego Grzybowskiego w programie cyklicznym „Z kart historii”, że nie mogę go nie uznać za najciekawszy w minionym tygodniu. Rozmowa o Tysiącleciu właśnie w ten sposób skonstruowana przez wybitnego naukowca, że dopasował ją do inteligencji i zainteresowań każdego telewidza, wydaje mi się programem nadzwyczaj sensownym i wartym lansowania. Jej poziom i urok gwarantuje nazwisko profesora, któremu udaje się niezmiennie od lat fascynować historię i o którym można nieskończenie... Cóż to bowiem za opowiadacz! — Cóż to za historia przy tym, kiedy on właśnie zaczyna jej interpretację, jak jej się słucha!

Wystarczy przytoczyć jego komentarz do powstania legendy o obronie Częstochowy, by jasny i zrozumiały stał się moment powstania jej z historią. „Nowa gigantomania” ks. Kordeckiego — przeora-megalomana, który z obrony niewiele znaczącej twierdzy, drobnego epizodu wojen szwedzkich, uczynił symbol bohaterstwa Polski, zainspirowanego przez Opatrzność, w kilka miesięcy po jej powstaniu ma znaczenie zasadnicze dla walczącego ludu. To jest

owoc słynne sienkiewiczowskie „ku pokrzepieniu serc”, odpowiadające konkretnej potrzebie społecznej w latach późniejszych — czyż ta sama legenda nie staje się jednak poparciem ówczesnej szlacheckiej tezy, że Polacy nierządni i Pan Bóg dlatego się nimi opiekuje? Nie trzeba tedy troszczyć się o obronę, nie trzeba troszczyć się o armię, o podatki — cud zastąpi obowiązki wobec państwa; niepostrzeżenie legenda pozytywna rodzi wartości negatywne. Niepostrzeżenie — wtedy, ale nie dziś, nie dla Grzybowskiego, który wędruje po historii z węchem badacza-analityka, który postrzeganie opiera na świetności rozumu erudyty i podaje nam swoją wiedzę o Tysiącleciu.

Co zatem wiemy o pierwszych wiekach Polski? Że był Leszek, Ziemowit i Ziemomysł; że prawdopodobnie jest nazwisko Piasta, że nowa dynastia doszła do władzy w drodze rewolucji, że o szereg generacji jest wcześniejsze przyjęcie chrześcijaństwa aniżeli podaje to oficjalna data. Co więcej? „Nie wiem, wolał być ostrożny” — konkluduje w wielkiej skromności świetny historyk. Odpowiedź na pewno nie jest ostateczna, a już prof. Grzybowski zdradzi nam nowe tajemnice pierwszych Polan 10 maja o godzinie 20? Poczekałmy, bo historia jest nauką uczącą poza wszystkim innym wielkiej cierpliwości.

Jest taki program stały w telewizji, który nosi tytuł „Czwarta zmiana”. Założenia jego są nadzwyczaj ważne, bo anonsuje on tysiącom telewidzów problemy robotnika w zakładzie pracy, jego stosunki z pracodawcą, jego sprawy socjalno-bytowe. Czy może być coś bardziej istotnego, aniżeli usłyszenie przez setki tysięcy ludzi o ich własnych troskach? Waga tego programu jest zatem ogromna; niepokoi tylko sposób jego realizacji telewizyjnej, nużąco, mało atrakcyjny, zbyt powierzchowny. O żywych ludziach trudno robić zle programy; toteż „Czwarta zmiana” nie jest programem bynajmniej zupełnie złym. Idzie jednak o to, by była programem lepszym, by drążyła środowisko robotnicze, by szukała argumentów mocniejszych, rącej większych, problemów szerszych i istotniejszych. To jest także swoisty typ „Bez apelacji”, brak mu jednak nerwu tamtej audycji, brak dobrego dziennikarstwa. I choć zawieszę słucham z ciekawością „Czwartej zmiany”, pozostaje mi także zawsze wrażenie niedociągnięcia tej bardzo społecznej publicystyki do punktu kulminacyjnego; publie problemu, nieudolności formalnej audycji. A szkoda, bo typowe kłopoty robotnika 1966, to jeszcze bardzo często terra incognita, czego dowodem była piątkowa ankieta nt. „co zrobiłbym, gdybym był przewodniczącym rady zakładowej”. Mówili ludzie młodzi i starzy; mówili chyba zupełnie szczerze, ale nie mieli czasu na przemyślenia. Nużące zaś powtarzanie pytania jak monotonna refren rozbiłoby dynamizm audycji.

Mówi się ostatnio, że telewizyjna publicystyka jest coraz lepsza; wcale to dla mnie nie oznacza, że jest dobra i w dalszym ciągu twierdzą, że nieudolna forma audycji zaprzepaszcza problemy; że nie idą z sobą w parze umiejętność mówienia o rzeczywistości z doniosłością spraw, które ona niesie.

Dlatego jeżeli zdarzy się rarytas w rodzaju niedzielnego „Polowanka” („Ludzie i zdarzenia”), gdzie niesamowitą historię postrzelenia chłopca opłatała sieć pytań o oblicze moralne społeczeństwa, gdzie na naszych oczach rozrastał się do apokaliptycznych rozmiarów problem znieczulicy i braku podstawowych uczuć humanitarnych, podaje go jako nieczytany w telewizji przykład rzeczywistości świetnej publicystyki, publicystyki zaangażowanej.

Fot. M. KOPEC

KRYSTYNA

## NOWE KSIĄŻKI

### DWA OPOWIADANIA SALINGERA

Jest to już trzecia książka, która ukazała się w przekładzie polskim, znakomitego pisarza amerykańskiego średniego pokolenia J. D. Salingera. Poprzednio otrzymałmy powieść „Buszujący w zbożu” i „Dzień w opowiadaniu”. Obecnie „Czytelnik” w serii z Nike wydał „Franny i Zooey”, dwie obszerniejsze opowieści związane ze sobą postaciami bohaterów. Obie należą do serii opowiadań o rodzinie Glassów zamieszkałej w Nowym Jorku. Opowiadania te zawierają wszystkie charakterystyczne cechy pisarstwa Salingera. Z niewiele na pozór znaczących wydarzeń i codziennych sytuacji wydobyla pisarz wyraziste sylwetki swych bohaterów, uosabiających najistotniejsze problemy i postawy moralne wielu współczesnych Amerykanów. Postacie jego opowiadań to przeważnie ludzie zagubieni w zmaterializowanym, ogłupiałym społeczeństwie i buntujący się przeciw bezdusznosci, fałszowi i brzydocie, które ich otaczają. Znakomity obserwator i psycholog z dużą wnikliwością i prostotą ukazują głęboko ludzkie, dramatyczne konflikty toczące się w pozornej przeciętności wydarzeń.

J. D. Salinger, Franny i Zooey. Tum-Maria Skibniewska. Warszawa 1966, Czytelnik.

### POWIEŚĆ ROZRACHUNKOWA

Taki ma charakter nowa powieść znanego krakowskiego pisarza Tadeusza Kwiatkowskiego pt. „Klatka”, która ukazała się ostatnio na półkach księgarskich. Pisarz raz jeszcze wraca do czasów kultu jednostki. Bohaterem powieści jest ortodoksyjny i fanatyczny w fałszywej rewolucyjności reżyser teatralny,

który w okresie przelomu październikowego przeżywa głęboki wstrząs i rozczarowanie. Z jednej skrajności wpada wtedy w drugą — zrywa związki z partią, staje się przeciwnikiem władzy w ogóle — przeciwnikiem istniejących stosunków społecznych i politycznych w kraju, w imię obrony wolności jednostki i ogólnikowego humanizmu.

Kwiatkowski wbrew dotychczasowej tradycji polskiej literatury rozrachunkowej, ten drugi okres w życiu bohatera czyni przedmiotem rozrachunku. Ukazuje jak dawny rewolucjonista zamienia się w bezpłodnego buntownika osamotnionego w ślepej negacji i wrogości wobec całego ustroju. Powieść napisana z pasją, o ciekawej konstrukcji, jest jedną z najambitniejszych książek Tadeusza Kwiatkowskiego i niewątpliwym wydarzeniem artystycznym w naszej współczesnej produkcji literackiej. Zastępuje na wagę jako powieść głęboko zaangażowana politycznie.

Tadeusz Kwiatkowski, „Klatka” Kraków 1966, Wydawnictwo Literackie.

### ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNYCH OPOWIADAŃ AMERYKAŃSKICH

Nakładem Iskier ukazało się drugie wydanie „26 współczesnych opowiadań amerykańskich”. Jest to znakomita publikacja — tom zawiera najwybitniejsze osiągnięcia prozatorskie współczesnej literatury amerykańskiej o rozległym wachlarzu tematycznym, różnorodnych tonacjach i nastrojach, przy równoczesnej szczeroci, prostocie i komunikatywności. Wszystkie opowiadania zbioru mają charakter realistyczny — cechuje je duże zaangażowanie społeczne. Głównym bowiem przedmiotem ich troski i obiektem zainteresowania jest człowiek. Walory głęboko humanistyczne występują wyraźnie nawet w opowiadaniach sarkastycznych i ironicznych. W zbiorze nie znajdziemy utworów powszechnie znanych u nas pisarzy, takich jak Hemingway, Steinbeck, Faulkner czy Caldwell. Są bowiem oni już klasykami literatury amerykańskiej i reprezentują wcześniejszy okres jej rozwoju. Tu wydawcy ukazują pisarzy w pełni współczesnych, którzy debiutowali dopiero po drugiej wojnie światowej. Orientację polskiego czytelnika w ogólnym obrazie współczesnej prozy amerykańskiej znakomicie ułatwiają szczegółowe noty biograficzne, umieszczone przy nazwisku każdego z autorów zbioru.

26 współczesnych opowiadań amerykańskich. (Aut.) Alken Conrad i inni. Wydanie II. Warszawa 1966, Iskry.

J. G.

## 14 maja otwarcie XI Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie

Już niecały miesiąc dzieli nas od otwarcia XI Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Tegoroczne MTK trwać będą od 15 do 22 maja (uroczystość otwarcia — 14 V). Uczestniczyć w nich będzie 2300 wystawców z 26 krajów, którzy zaprezentują ok. 60 tys. książek.

Najważniejszym akcentem XI MTK będzie Tysiąclecie Państwa Polskiego.

# „Wielki Holender” w ultrafiolecie

Historia tego procederu mogłaby się zaczynać sławetnym — „Już starożytni Rzymianie...”, właśnie bowiem w starożytności Rzymianie zaczęli się od razu pierwszy na wielką skalę. Historia to nader barwna, są w niej strony zabawne, są i tragiczne. Tworzyli ją wspólnie pospolici oszuści i ludzie szukający odwetu za rany zadane ich ambicji, niedźni partacze i jednostki o nieprzeciętnym talencie.

Lęk przed falsyfikacjami spędza sen z oczu wszelkim zbieraczom dzieł sztuki: muzeologom i amatorom. Jak odróżnić dzieło oryginalne od sfalszowanego? W związku z tą trudną sprawą, odpowiedzi na powyższe pytanie szukaliśmy u wybitnego polskiego specjalisty, prof. Bohdana Marconiego, wiceprezesa Międzynarodowego Instytutu Konserwacji w Londynie.

## PIĘKNOŚĆ NIE Z TEJ EPOKI

Warszawska pracownia prof. Marconiego przy ulicy Kredytowej bardziej przypomina laboratorium badawcze technika analitycznego od dzieł sztuki. Rzecz w tym, iż domena profesora są przede wszystkim nowoczesne metody badawcze, takie jak analiza mikrochemiczna, radiologiczna itp. Zgromadzona tu aparatura potrafiłaby, jak sądzić, przyprowadzić najwytrawniejszych falszerzy o drżeniu ręki. Nie zawsze trzeba się jednak uciekać aż do jej pomocy...

Podstawowy oręż w walce z falsyfikacjami to wrażliwe na prawdziwe piękno oko i gruntowna znajomość historii sztuki. Najczęściej właśnie już tutaj, analiza stylistyczna pozwala zdemaskować dzieło sfalszowane. Oczywiście wymaga to znajomości charakterystycznych dla poszczególnych malarzy tematów, motywów, techniki.

Prof. Marconi napotkał w swej bogatej praktyce szczególnie dużo falsyfikatów akwarel Falata. Wszystkie one zdradzały się tzw. podryśnięciem, sam bowiem Falat — rzecz charakterystyczna — nigdy przy malowaniu ołówka nie używał, nawet podpis wykonywał piędziem. Podryśnięcie w swe obrazy natomiast Juliusz Kossak, czego nie uwzględnił falszerz jego „Wjazd Sobieskiego do Wiednia”, który ów falszyk namalował na... albo skopiowanym matowym zdjęciu fotograficznym oryginału.

Na ścianie pracowni profesora wisi obraz podpisany nazwiskiem XVII-wiecznego Holendra, van Ruisdaela. Oryginał czy falszyk? Badania rentgenowskie były tylko formalnością, falszerza bowiem od razu zdradził XVIII-wieczny (?) statek przedstawiony na obrazie. Inny, datowany anno domini 1631, obraz młodej, pięknej dziewczyny, okazuje się również być falsyfikatem, co już sprawia mi osobliwą przykrość. Jak przypaść na XVII-wiecznego Holendra, obraz ten jest namalowany na drobnej desce, ale kształt użytych cyfr nie pasuje do tej daty, a typ urody modelki zdradza epokę znacznie bardziej nam bliską...

## GDY ZAWODZI OKO

Trafiają się wszakże falszerze potrafiący wczuć się do tego stopnia w styl jakiegoś cenionego przez zbieraczy malarza lub całej epoki, że podrabianych przez nich obrazów nie sposób zdemaskować za pomocą analizy stylistycznej. Warto tu przypomnieć zmarłego pod koniec lat czterdziestych Holendra, van Meegerena, uważanego za największego falszerza wszechczasów.

Przyznać nieszczerze tego nieprzeciętnie zdolnego malarza było to, że tworzył on w stylu XVII-wiecznych mistrzów, ekskulturował swój i ekskulturowany przez krytyków. Postanowił więc wziąć nań odwet, wypuszczając serię falsyfikatów swego znakomitego XVII-wiecznego rodaka Vermeera van Delft, co mu się zresztą znakomicie udało. Malowane przez niego falsyfikaty „odkrywali” jako oryginalne najwybitniejsi specjaliści, a kupowały je muzea o światowej sławie. Nie wiadomo, czy cała ta historia kiedykolwiek by się wydała, gdyby nie zarzut kolaboracji postawiony van Meegerenowi po wojnie za sprzedaż obrazu Vermeera do kolekcji Göringów. Van Meegeren, uniósł się honorowo i wyjawił, że o kolaboracji nie może być mowy, ów bowiem obraz jest falsyfikatem jego pędzla. Na dowód, wymienił kilka innych Vermeerów swej „produkcji”, a dla zupełnego pogrobenia krytyków jeszcze jedno „arcydzieło” namalował już w więzieniu!

W przypadkach tego rodzaju falszerzkiej wirtuozerii, w przypadkach falsyfikatów będących wierną kopią oryginału, a także w wielu innych — najsukcesywniejszymi metodami badań okazała się właśnie wspomniane już uprzednio rodzaje analiz: mikrochemiczna, radiologiczna itp.

## WIEK POD MIKROSKOPEM

Nie zawsze falsyfikaty starych mistrzów są całkowicie dziełem falszerzy. Najmniej pracochłonna metoda falszerstwa jest np. uzupełnianie obrazów starych, lecz mało cenionych malarzy, podolsami mistrzów bardziej wziętych. Częstokroć również obrazy tego rodzaju uzupełniają się lub poprawiają dla podniesienia ich wartości. Wszystkie takie i tym podobne retusze demaskuje bezbłędnie fotografia ultrafioletowa, zrobiona w promieniach ultrafioletowych. Toż analiza lampą kwarcową jest w pracowni prof. Marconiego narzędziem badawczym numer 1.

Jeśli „podejrzany” wyjdzie z tej próby bez zarzutu, czekała go oględzina w aparacie rentgenowskim i w promieniach podczerwieni. Prześwietlenie rentgenowskie demaskuje szczególnie te rodzaje falsyfikatów, które sporządzone są na starych deskach lub na starych, bezwartościowych obrazach, dzięki czemu oględziny zewnętrzne mogą nie budzić podejrzeń co do ich wieku. Podobnie promienie podczerwone pozwalają zaglądać „w głębi” obrazu przez niektóre barwniki. Z kolei analiza mikrochemiczna polega na badaniu składu chemicznego farb, których maleńkie próbki pobiera się skalpelem z podejrzanego obrazu. Bardzo uzasadniona to ciekawość, jeśli zważyć, iż znane są dość dokładnie lata, w jakich poszczególne gatunki farb wchodziły na palety malarzy lub z nich ustępowały... Niekiedy falszerze starają się wszakże i pod tym względem być „sumienni”. Na wspomnianym van Meegerenem postępowano w ten sposób, w tym celu do obrazu, którego mistrza podrabiał, nie zamieszano oryginalnej farby, ale użyto — musiał stosować odkryty dopiero w XX wieku bakelit, żeby obrazy szybciej schnęły.

Nie sposób tu również pominąć badań mikrochemicznych, które pozwalają przyrzuć się leniwej owym mistrzom rytym przez falszerzy pęknięciem farby, mają-

cym stanowiąc świadectwo podeszłego wieku obrazu.

Falszywi Holendrzy i falszywi Włosi, Falaty i Kossaki, Czachórski z dyskretnie usuniętym napisem „copie”, Siemiądzki z podrobionym podpisem, choć falszykiem nie był, portret Jana Kazimierza, co okazał się papieżem Klemensem XIX... Słuchając o owych niezwykłych odryciach prof. Marconiego, zastanawiam się w duchu, iluż to ludziom przysporzyły one przykrych rozczarowań, a ilu — rozczarowań takich zaoszczędziły.

Opowiem tu tylko o jednym jeszcze odkryciu profesora, które dotyczyło go osobiście, a miało miejsce w latach, gdy metody radiograficzne dopiero zaczynały do tego rodzaju badań stosować. Ośmiesiątnego dnia, otrzymawszy możliwość skorzystania ze szpitalnego aparatu rentgenowskiego, profesor znalazł pierwszy obraz, jaki nawiązał mu się pod rękę i spieszenie podążył z nim do szpitala. Obrazem tym była odziedziczona po rodzicach martwa natura pędzla cenionego Holendra, Jana Dawida de Heema. Łatwo wyobrazić sobie zmartwienie profesora, gdy oględziny rentgenowskie wykazały, że jest to falszyk! Jakież jednak było jego zdumienie i radość, gdy po zdjęciu farby nałożonej przez falszerza w XIX w. odkrył inną martwą naturę podpisaną co najmniej równie znakomitym nazwiskiem: Abraham Beyerem. I o ironio! dzięki owym falszerskim zabiegom jest to dziś najlepiej zachowany obraz tego XVIII-wiecznego Holendra...

ANDRZEJ KONIECZYŃSKI



CZESŁAW GOFROŃ — Prodziekan Wydziału Prawa UMCS w Lublinie.

RYS. J. SIENKIEWICZ

## Kronika festiwalowa

# Ambitny repertuar

W ramach wielkiej imprezy kulturalnej, Ogólnopolskiego Festiwalu Związków Zawodowych odbędą się przeglądy dorobku zespołów artystycznych. Zespoły związkowe woj. rzeszowskiego przygotowują się do przeglądu sięgającego w przeważającej mierze po ambitny i ideowo zaangażowany repertuar. Tak np. teatr amatorski ZDK Huty „Stalowa Wola” podjął się inscenizacji „Kolumbów — rocznik 20” Bratnego w inscenizacji Hanuszkiewicza. Teatr Młodych ZDK WSK w Rzeszowie przygotowuje „Krywe lustro” Bystrzyckiej, Teatr Kolejjarzy z Przemysła „Polacy nie gesi” Morstina, Teatr WSK w Dębicy „Wodewil warszawski” Gozdawy i Stępnia. Teatr Robotniczy Rafinerii Nafty w Jaśle wystawi ponownie sztukę Domańskiego „Ktoś nowy”, a zespół teatralny POM w Dachnowie pow. Lubaczów opracuje sztukę „Anioł na dworcu” Abramowa.

Teatry estradowe przygotowują programy według tekstów miejscowych autorów, dotyczące problemów zakładów i środowiska. M. in. zespół estradowy przy ZDK „Tapima” w Tarnobrzegu przygotowuje „Abecadło siarkowe”, PZGS w Jaśle program poświęcony sprawom

handlu pt. „Kramik na wesoło”, ZDK ZPG w Dębicy „Skąd się wzięli chuligani”, a kabaret satyryczny ZDK rzeszowskiej WSK program rzeszowski pt. „1000 Rzechów głównych”.

Nowe programy przygotowują również teatry słowa. I tak w „Tapimie” — „Nad Mazowsza równina

otwartą” wg Wł. Broniewskiego, rzeszowska „Meluzyna” przygotowuje „Kurta” Grześczaka, w przemyskim Kolejjarzu opracowują program zatytułowany „Idzie żołnierz borem lasem”, natomiast teatr słowa krośnieńskiego MPKG przygotowuje „Warszawskie natchnienie”. (Stanski)



## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY OBYCZAJOM SARMATÓW przedstawia

### Sprawę honorową — czyli rodaków godne rozmowy

Zdarzyło się to w pewnym sympatycznym miasteczku położonym nad pięknym Sanem. Klimat tu nie gorszy, ludzie, jak ludzie, ani źli ani dobrzy. Może trochę nudno, wiadomo nie stolica! Co tu dużo mówić. Nie ma powodów, aby w takich miasteczkach tracić zdrowy apetyt i spać „psychonerwicznie”. A jednak! Obywatel dyrektor Honorowski od pewnego czasu dosłownie nikt w oczach. Ten fakt był szczególnie zastanawiający, jeśli uzmysłowimy sobie, że właśnie miasteczko przeżywało niezwykle ożywienie i na niejednej twarzy gościła radość i słuszną dumą.

Było tajemnicą poliszynela, że radosne ożywienie w miasteczku było owocem zwycięstwa nad „wyżem demograficznym”, czego wymownym dowodem stał się nowy zakład górujący nad miasteczkiem imponującym kominem.

W podniosłym nastroju ten i ów przebąkał, że dyrektora Honorowskiego trawi jakaś sarmacka choroba, którą podobno odziedziczył po protoplastach.

Wkrótce jednak w samopoczuciu dyrektora nastąpiła wyraźna poprawa, co zauważyli nawet bywalcy miejscowej gospody kategorii III włączając się do terapii dyrektora.

Nic też dziwnego, że dyrektora nowego obiektu w miasteczku obywatela Pieniacza przywitano manifestacyjnie wyrażając gorąco swe uczucia.

— No, zwyciężyliśmy! — twierdził dyrektor Pieniacz.  
— Zwyciężyliśmy! — potwierdził dyrektor Honorowski.

— Wyż rozłożony — wtrącił Pieniacz, a Honorowski na to:  
— Nie ma psubrata w miasteczku, Ktoś zaproponował:  
— Dalibóg trzeba to uczcić kropelkami.  
Wszyscy uczyli pod sto lat, Po czym Pieniacz zagadnął Honorowskiego.  
— Wy się kolego nie gniewajcie o ten komin.  
— Ze niby co? — Jak mi Bóg miły, nie rozumiem — odparł z godnością Honorowski.  
— Wiadomo, nowy obiekt to i komin wyższy.  
— Dobrze to — zaśmiał się Honorowski — wolne żarty. Waszność kpi czy o drogę pyta. Mylisz się serdenko, komin w naszym zakładzie jest wyższy.  
— Asan, żarty stroisz?

W końcu jak przystało na rodaków, gdy o honor idzie, sprawę rozstrzygnięto poprzez unowocześniony pojedynek i stanął zakład o 1000 zł. Na sekundantów powołano wszystkich obecnych. Trudność wykonała się tylko ze znalezieniem sędziego który by rozstrzygnął, kto ma rację.  
— Dalibóg, za „dwa brudasy” zmierzcie kominy — zaofertował ktoś postronny swe usługi.

Niezwykle mierzenie odbyło się przy aprobacie pełnego audytorium. Nowy komin był o 20 cm wyższy. Dla niektórych będzie to niezbitny argument, że „nowe zwycięża stare”.

Ja jednak w starych księgach przeczytałem wciąż te myśli dla rodaków nowe:  
„...ZBYTEK, CO SIĘ TYLKO CZCZYM  
POZOREM CHLUBIŁ  
OKRASIŁ NAS POWIERZCHNIE,  
A W ISTOCIE ZGUBIŁ.”



REDAGUJE E. GAJEWSKI RYS. J. SIENKIEWICZ

# Zdarzenia tygodnia

21 i 22 bm. w sali WDK w Rzeszowie odbyła się zorganizowana staraniem Państwowej Orkiestry Symfonicznej interesująca impreza muzyczna. „Halke” Stanisława Moniuszki w wydaniu estradowym przedstawił artysty: Hanna Rumowska, Kazimierz Pustelak, Adam Rybowski, Krystyna Szeja-Szostakowa, Jan Łukowski i Siawomir Książek. Wystąpił również chór Towarzystwa Śpiewaczego „Orfeusz”. Orkiestra dyrygował Janusz Ambros. Dziś tj., 23 bm. „Halke” usłyszą mieszkańcy Stalowej Woli.

16 bm. w sali kina Apollo w Rzeszowie odbył się pokaz filmowego szkicu historycznego pt. „Zamek w Łańcutcie”. Obraz został zrealizowany przez warszawską Wytwórnię Filmów „Czołówka”, reżyseria B. Kosińskiego.

W niedzielę, tj. 24 bm. w Ustrzykach Dolnych odbywa się koncert laureatów eliminacji wojewódzkich XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego Zainteresowanych informujemy, że impreza odbywa się w Domu Kultury, początek o godzinie 11. Organizatorzy zapraszają wszystkich chętnych do wzięcia udziału. Korzystając z okazji proszę się mylnie eliminacji wojewódzkich w kategorii amatorów: I miejsce otrzymał Ryszard Józef Joachim i Ustrzyk Dolnych i Celina Heller z Boguchwały, II — Ewa Duraczynska z Sanoka i Aleksandra Głupa z Miejsca, a III — Zdzisław Romanuk z Ustrzyk, Waclaw Pater z Miejsca, Jan Aab z Jaroslawa i Stanislaw Pawlik z Lubczowa.

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie otwarto w dniu 21 bm. wystawę rysunków Józefa Rysia, amatora kronikarza wsi podrzeszowskiej, zamieszkałego w Białej pow. Rzeszów.

Ten domorośli twórca rozpoczął swoją twórczość od pisania wierszy, a następnie rozpoczął utrwalać na papierze ludzi i wydarzenia wiejskie. Szkice i opisy uzupełniał rysunkami i akwarelami. Niezależnie od tej twórczości rysuje typy i sceny z życia wsi, jak np. typy portretowe chłopów, obyczaje i obrzędy.

W dniach 17 do 23 bm. w województwie rzeszowskim przebywał zespół gitar hawajskich J. Lawrusiewicza (estrada łódzka), prezentując program pt. „Młodość i rytm”, na który złożyły się rytmy, melodie meksykańskie i hawajskie, kubańskie oraz humor i parodie.